TOŻSAMOŚĆ · FUNDAMENTY · OPINIA

POTRZEBNA JEST PIĄTA TEORIA POLITYCZNA!

Przemysław Dulęba · 10 listopada 2023

Jörmungandr w nordyckiej mitologii to gigantyczny wąż otaczający swym cielskiem cały świat. Był ponoć tak wielki, że aż pożerał swój ogon. Potwór ten był jednym z upiornej trójki dzieci boga Lokiego i gigantki Angerbody. Według nordyckich sag Jörmungandr był głównym przeciwnikiem boga Thora podczas ostatecznej walki bogów na końcu świata, którą nazywano Ragnarök. Jörmungandr pluł jadem, który uśmiercał wszystko i wszystkich, nawet bogów. Mordercza walka boga i potwora miała się skończyć śmiercią ich obu. Ta walka była ich przeznaczeniem, od którego nie było odwrotu. Jörmungandr wydaje się najlepszą metaforą współczesnego liberalizmu. Bo właśnie liberalizm, jak ów mityczny wąż, oplata dziś cały świat. Jest obecny wszędzie, na wszystkich płaszczyznach życia.

Apokalipsa

Cała współczesna cywilizacja Zachodu jest ufundowana na paradygmacie liberalizmu. Jest on największą wartością, której zawzięcie broni cywilizacja ludzi morza, która zdominowała Europę. Współczesny Jörmungandr zaczął już pożerać swój własny ogon i nieuchronnie zmierza do samozagłady. Najciekawszym jednak spostrzeżeniem jest fakt, że ta bezalternatywność, która zdaje się obecnie dominować w ogólnoświatowym dyskursie opanowanym przez pokolenia wyznawców liberalizmu, jest tak samo pesymistyczna jak owa pogańska wizja nieuchronnego końca świata – Ragnarök. Nie przypadkiem jest to związane z paradygmatem cyklicznej koncepcji czasu, która charakteryzowała wszystkie religie astrobiologiczne (czyli ogólnie mówiąc – pogańskie). Świat miał się stale rodzić, dojrzewać i umierać. I ta nieustanna mutacja i przemiana jest jednym z fundamentalnych założeń liberalizmu. Doprawdy zadziwiające jest to nieświadome małpowanie przez pokolenie współczesnych postępowców zachowań charakterystycznych dla dawno zapomnianych religii pogańskiej Europy. Tam, gdzie umarło chrześcijaństwo, samoistnie odżywają dawno zapomniane religie. I nie chodzi tu o dziecięce w swej naiwności naśladownictwa neopogan, a o prawdziwie głęboki kult pesymistycznego indywidualizmu.

Liberalizm jest potrójnie zły, albowiem duchowość zastępuje zachowaniami magicznymi i zwierzęcym biologizmem – redukcją człowieka do poziomu czysto zwierzęcego bytu, który w filozofii greckiej określano terminem *zoe.* Swobodę autoekspresji ceni bardziej niż ład samoograniczenia. Dobro jednostki przedkłada nad dobro wspólnoty. To potrójne zło odpowiada dokładnie trzem współczesnym odmianom liberalizmu: politycznej, społecznej i gospodarczej. Ten jego triadyczny charakter przywodzi na myśl Trójcę Zła z gnostyckiej demonozofii (w wydaniu Rudolfa Steinera), na którą składa się demon lucyferyczny (atakujący duchowość), demon arymaniczny (atakujący świat materialny) i demon assuryczny (atakujący samo jestestwo, sam byt). Liberalizm jest właśnie ową Trójcą Zła świata współczesności. Stawiając po-

nad wszystko człowieka i jego nadrzędne prawo do wolności i nieposkromionej samorealizacji, obraca wniwecz wszelkie próby wypracowania cnót, które od wieków budowały cywilizację chrześcijańskiego świata Zachodu. Odrzucenie wspomnianego wyżej „potrójnego demona" jest *conditio sine qua non* zmiany rzeczywistości, która nas zewsząd otacza.

CZYTAJ TAKŻE: Państwo jako idea

Życie codzienne w RPRL-u

Rzeczywistość, w której się wychowaliśmy i w której żyjemy – my, ludzie urodzeni w latach 80. i 90. ubiegłego wieku (bo dla tego pokolenia piszę ten tekst) – to świat, gdzie dogmaty potrójnego liberalizmu są prawdą objawioną, są świadomą lub podświadomą „świecką religią" zewnątrzsterownych tłumów. Wszyscy wyznawcy tego „kultu" chcą być wolni od wszelkich obowiązków wykraczających ponad te, które zapewniają im konkretne materialne korzyści. Chcą mieć możliwość decydowania o wszystkim, co dotyczy swobody ich autoekspresji. Mają swoje odrębne zdanie na każdy temat i pragną za wszelką cenę wyzwalać się ze wszystkich więzów na płaszczyźnie politycznej, społecznej czy gospodarczej. Wszystko to jest nieznośne dla tych z nas, którzy wychowali się w cieniu pokolenia naszych rodziców. Oni, w zdecydowanej większości, żyli opętani ideałami wyrosłymi na gruzach społecznego ruchu „Solidarności". Ideały te były szczytne, ale nie nadawały się do zmaterializowania w realiach kraju postkolonialnego, jakim jest III Rzeczpospolita. I tak jak komunizm był ideologią i praktyką z pozoru zbawienną, ale w istocie nierealną dla kraju „przedłużonego średniowiecza", jakim była przedrewolucyjna, carska Rosja, tak liberalizm stał się przysłowiowym „opium dla ludu" peerelowskiej Polski w czasach „Solidarności". Zwłaszcza w tzw. epoce transformacji. To lata 90. XX w. ukształtowały polityczno-społeczny *consensus*, który obecnie dominuje w Polsce. Były próby jego podgryzania, to z prawej, to z lewej strony, ale nadal ten sposób myślenia i postrzegania otaczającej nas rzeczywistości wygrywa wybory wśród Polaków z iście „putinowską przewagą".

„Prześniona rewolucja" (1939–1989), o której pisał ciekawie (ale w nieznośnie bełkotliwej i typowo lewackiej manierze) Andrzej Leder, doprowadziła do całkowitej zmiany stosunków społecznych w Polsce. Zniknęły dwie warstwy, które nadawały ton całej historii od XVI w., czyli polska szlachta i żydowskie mieszczaństwo. Jesteśmy obecnie niemal całkowicie chłopskim społeczeństwem. Do niedawna niezwykle egalitarnym i homogenicznym etnicznie. Paradoksem historii jest to, że PRL wprowadził w życie najważniejsze postulaty nacjonalizmu polskiego – państwo jednonarodowe, granice na Odrze i Nysie, masową emancypację polskich chłopów i robotników, nacjonalizację dużych majątków etc. To był wielki skarb, który w latach 90. roztrwoniono. Odpowiedzialni są za to ludzie z tzw. demokratycznej opozycji. Elity solidarnościowe to największy balast współczesnego życia polityczno-społecznego. Zdecydowana większość postaci kojarzonych z tym pokoleniem ludzi władzy to osoby wyznające wielopoziomowy liberalizm, który tylko cementuje proces olbrzymiej deprawacji i dezintegracji żywiołu polskiego, jakiego jesteśmy niemymi świadkami od 1989 r.

Nie jest przypadkiem, że deprecjonujemy intelektualne i polityczne dziedzictwo ruchu „Solidarność". Wspomniana tradycja ideowa jest balastem, który ciągnie na dno nawet tę niewielką część społeczeństwa, która jest świadoma szkodliwości liberalizmu. Ten stan czyni nas – w domyśle społeczeństwo współczesnej Polski – wiecznie niedojrzałym i nie pozwala na przeciwstawienie się głównym problemom współczesności. Jeżeli słuszne jest założenie niektórych współczesnych marksistów, że karnawał „Solidar-

ności" należy uznawać za jedyne w naszej historii wydarzenie komunistyczne (patrz Jan Sowa, *Inna Rzeczpospolita jest możliwa!*), to wszystko, co się wydarzyło po nim, było jego zaprzeczeniem. Pokolenie „Solidarności" urządziło współczesną Polskę według swoich wyobrażeń, według swoich najskrytszych marzeń, zdeformowanych w krzywym zwierciadle zimnowojennej rzeczywistości. Dla jego przedstawicieli liberalizm polityczny, społeczny i gospodarczy jest fundamentem wszelkiego działania, albowiem był zawsze uznawany za ideał, który niekiedy przykrywano dla niepoznaki „patriotyczną i godnościową narracją". Dziedzictwo wychowania w PRL-u i mit „Solidarności" kształtował pokolenie naszych rodziców, którzy marząc o świecie Zachodu i owej wyśnionej „Ameryce", byli w stanie zgodzić się na wszystkie upokorzenia lat 90., aby cel owych marzeń osiągnąć. Przedstawiciele tego pokolenia, którzy nadal są u władzy, jeśli nawet odwołują się do jakichś sloganów o solidarności społecznej, jeśli wdrażają rozwiązania systemowe, które realizują pewne zmiany mające nieco ulżyć zdeprawowanemu i uciemiężonemu żywiołowi polskiemu, to jest to tylko reformą cząstkową, dotyczącą wybranych elementów życia społecznego. Co więcej, te zmiany zawsze mieszczą się w kanonie rozwiązań społecznych od lat praktykowanych powszechnie w krajach Zachodu.

Współczesne państwo polskie jest systemowym mutantem, jest RPRL-em (ten błyskotliwy termin stosowany był niegdyś przez czasopismo literackie „brulion", wydawane w latach 1987–1999).

> Dla wielu naszych rówieśników z RPRL-u świat jest prostym równaniem, w którym jakakolwiek forma odstępstwa od dogmatów „politycznej teologii" liberalizmu i wolności od społecznej odpowiedzialności jest herezją lub co najmniej błędem niedoskonałego systemu operacyjnego, a nie zamierzonym czynem. Ale czas mija i zmienia się postać tego świata. Dezawuują się ideały ponowoczesnej współczesności, która na naszych oczach połyka własny ogon.

Za wolność waszą i naszą

Nie ma bardziej szalonego i nieodpowiedzialnego sloganu wypisanego na kartach naszej historii niż ten, który po raz pierwszy wyhaftowano na sztandarach z czasów powstania listopadowego, później zaś wielokrotnie powielono podczas różnorodnych zmagań politycznych i ideologicznych. Jądro polskiej ideologii państwowej to idea wolności – tak sądzą dziś niemal wszyscy. Od libertarian i neokonserwatystów po kręgi lewicowe, o ile uznają one jeszcze potrzebę istnienia polskiego państwa. Takie przeświadczenie zdecydowanie dominuje w oficjalnej aksjologii. Tyle że ta wolność – w oczach całego pokolenia wychowanego na liberalnych dogmatach – oznacza w praktyce jedynie bezwarunkową swobodę autoekspresji ograniczoną do wybranych sfer życia.

Ważniejsze od wolności jest upodmiotowienie. Na wszystkich szczeblach. Od upodmiotowienia jednostki, która przez system kapitalistyczny została zredukowana do kółka w maszynie, aż po naród, który niby cieszy się teoretyczną niepodległością, ale *de facto* jest coraz bezradniejszy w stosunku do większości międzynarodowych korporacji. Wolność gospodarcza, z którą teoretycznie mieliśmy do czynienia w początkach lat 90., bardzo szybko doprowadziła do sytuacji, w której zagraniczne podmioty gospodarcze, najczęściej za aprobatą władz państwowych, zdobyły dominującą pozycję w większości segmentów polskiej gospodarki.

To właśnie w myśl tego sloganu, tak silnie zakorzenionego w Polsce od epoki romantyzmu, pomagamy dziś Ukrainie w walce z Rosją. Zdecydowana większość Polaków, mówiąc, że życzy Ukraińcom wolności i niepodległości, ma *de facto* na myśli wszystkie odmiany liberalizmu, którego sami obecnie doświadczają. Oczywiście wielu ludzi, którzy prześcigają się w pokazywaniu swojej rzeczywistej lub urojonej pomocy dla tego kraju ogarniętego wojną, nie rozumie tragedii naszych wschodnich sąsiadów. Ukraina jest w sytuacji bez wyjścia. Z jednej strony gnijący Zachód, którego polityczne i ekonomiczne wyrachowanie obnaża sytuacja wojenna, z drugiej ponura Rosja, w której ujawniła się ponownie dzika i bezwzględna tradycja turańskiego imperializmu. Istnienie państwa ukraińskiego zależy tylko od wewnętrznej siły kształtującego się na naszych oczach narodu ukraińskiego. Naród ten jest zmuszony prowadzić wyczerpującą wojnę, do której doprowadziła ogólnoświatowa walka rzeczywistych i samozwańczych imperiów. Co dziś oznacza owa „wolność nasza i wasza"? To jest jakaś romantyczna utopia, którą karmione są rzesze młodzieży szkolnej. Ta młodzież szybko dojrzewa i interpretuje ten slogan w duchu ponowoczesnych ideologii oderwanych od brutalnej rzeczywistości świata stałego niedoboru i niesprawiedliwości. Zawsze są panowie i niewolnicy. Dzisiaj moja wolność oznacza niewolę innych, mój dostatek oznacza biedę innych, moje bezpieczeństwo oznacza zagrożenie dla innych. Tak wygląda bilans postkolonialnego, postkapitalistycznego i neofeudalnego świata Zachodu.

CZYTAJ TAKŻE: Sadomasochizm polskiej polityki historycznej

Ekonomia zbawienia ponad ekonomią behawioralną

Ekonomia jest dziedziną życia umysłowego, która w RPRL-u jest zdecydowanie przereklamowana. Ekonomia, z punktu widzenia zarówno jednostki, jak i państwa, nie ma żadnego znaczenia, gdy nie jest funkcją władzy. Istotna jest tylko władza polityczna oparta na fundamencie politycznej religii bądź filozofii, która tę religię implementuje w pełni życia każdej jednostki, narodu i cywilizacji. Mając silną władzę polityczną na poziomie imperialnym, można ekonomię traktować – tak jak się powinno to robić – jako narzędzie do sprawowania władzy. Dlatego w chwilach przesilenia politycznego nawet tak skrajnie niepopularna ekonomia komunizmu wojennego może być traktowana jako korzystne rozwiązanie. Kapitalizm, prawa podaży i popytu mają swoje zastosowanie tylko w idealnej sytuacji, kiedy „system-świat" albo „gospodarka-świat" są rządzone przez wszechpotężnego hegemona, zdolnego do narzucenia tych reguł wszystkim, którzy w tym systemie chcą żyć. Tak było od 1945 r. Od kilku lat ten hegemon traci swoją moc, a epidemia i hybrydowa wojna dobiją go. Miejmy nadzieję, że na zawsze.

Rzecz w tym, że naszemu pokoleniu zrobiono okrutną krzywdę, wbijając do głowy gnostycką (w odmianie czysto manichejskiej) wizję świata, w którym o wszystkim decyduje ekonomia, podzielona na dwie siły: światła (kapitalizm) i ciemności (socjalizm). Co więcej, prawdopodobnie przytłaczająca większość naszego pokolenia jest już stracona i zostanie wkrótce rozjechana przez walec historii. Jesteśmy zwolennikami poglądów św. Augustyna. W kwestiach społeczno-politycznej ontologii na odwieczny problem *unde malum* odpowiemy tak: jest dobro (siła) i jego (jej) brak. Nie jesteśmy w tym oryginalni. Już lata temu formułowali to w sposób charakterystyczny dla tamtych czasów Miłkowski, Popławski, Balicki, Dmowski...

Tzw. ustawa Wilczka naszemu pokoleniu kojarzy się jedynie z dojmującą biedą wczesnych lat 90., bezrobociem, różnymi szemranymi interesami. Do dziś dla pokolenia naszych rodziców i całego proletariatu tej daty słowo „biznesmen" znaczy tyle co „krętacz, kombinator i oszust". Ta ustawa była dla wszystkich, ale byli również *primus inter pares*, czyli przedstawiciele służb siłowych i partyjna nomenklatura. To

oni wygrali ten wyścig. Szybko się zorientowano, że swoboda działalności gospodarczej już nie powinna być dla wszystkich, więc przykręcono śrubę. Za tę „wolność" trzeba odpowiednio zapłacić. Ta cała sytuacja pokazała jak w soczewce beznadzieję tej mitycznej wolności gospodarczej, która doprowadziła szybko do większego zniewolenia mas pracujących. Bo bez silnej władzy politycznej, która pilnuje zasad uczciwej konkurencji i wskazującym paluszkiem pokazuje, co jest dobre, a co złe, nic się nie da zrobić. Uczciwi ludzie, którzy chcieli się sprawdzić w warunkach wymarzonego od lat kapitalizmu, szybko stali się szprotkami wrzuconymi do basenu pełnego rekinów. Dla nas był to po prostu kolejny sowiecki NEP.

Jest jeszcze jedno widmo przeszłości. Prywatyzacja. Balcerowicz. Dziś już doskonale wiemy, że był on tylko realizatorem planu Jeffreya Sachsa, ale solidarnościowe elity, które się zgodziły przeprowadzić na społeczeństwie polskim eksperyment ekonomiczny wymyślony przez wspomnianego amerykańskiego ekonomistę, powinny zostać za to ukarane z iście bolszewickim okrucieństwem. Prywatyzacja przeprowadzona na początku III RP była tylko masowym rabunkiem mienia, na które pracowały rzesze Polaków w całej grozie stalinizmu, groteskowości gomułkowszczyzny, naiwności gierkowszczyzny i beznadziei jaruzelszczyzny. Te wielkie, nierentowne fabryki, rdzewiejące, fatalnie zarządzane przedsiębiorstwa były najczęściej jedynym majątkiem dla wielu lokalnych społeczności. Majątkiem wspólnotowym. Bo jednostkowego majątku nie dało się w tym czasie akumulować inaczej, w sposób nieco bardziej sprawiedliwy. Te fabryki i zakłady były jedynym źródłem dochodu i narzędziem do modernizacji. Sprzedano je za bezcen zagranicznym inwestorom albo zlikwidowano, aby nie były konkurencją dla obcego kapitału, który wtedy wkraczał bez żadnego istotnego hamulca ze strony prawa, państwa i realnej władzy. Dla wielu rodzimych przedsiębiorców ten wspólnotowy majątek stał się rezerwuarem pierwotnej akumulacji kapitału, która jak to historia udowodniła, zawsze opiera się na brutalnym rabunku. Ile z tych zakładów przydałoby się teraz. Problemem było to, że były one źle zarządzane, a funkcjonowały w strefie peryferyjnej (wg systematyki Immanuela Wallersteina), do której USA zepchnęło cały blok sowiecki. Po sprawie, czyli już na początku XXI w., nawet wielu zatwardziałych liberałów (herezjarchów tej gnostyckiej sekty) otwarcie przyznawało, że było to wielkim skandalem i że reformy w Polsce należało zacząć od wzmocnienia systemu prawnego i aparatu państwowego, który tego systemu powinien strzec. Na odejście od protekcjonizmu państwowego w gospodarce można sobie pozwolić dopiero na etapie imperialnym.

CZYTAJ TAKŻE: Święta trójca współczesności

Wykorzenienie

Lata 1939–1989 były widownią istotnych przemian społecznych, ale moment gwałtownego załamania się dotychczasowego modelu kulturowego, nastąpił dopiero w latach 90. XX w. Obecnie zaczynamy zbierać zatrute owoce tych zmian. Wtedy to unaoczniło się, jak istotnym problemem jest kulturowe wykorzenienie, które w Polsce powojennej jest widoczne na dwóch poziomach – horyzontalnym i wertykalnym.

Horyzontalnym możemy nazwać wykorzenienie związane z przymusową migracją i zasiedleniem zachodnich obszarów współczesnej Polski. Na tzw. ziemiach odzyskanych bardzo trudno budować struktury społeczeństwa obywatelskiego. Na każdym kroku czuje się, że jest to krajobraz zagospodarowany „obcą ręką". Te obszary są znacznie biedniejsze. Poza kilkoma wielkimi miastami (Wrocław, Gdańsk, Szczecin) tereny przyłączone do państwa polskiego po 1945 r. rozwijają się znacznie gorzej i borykają się nadal ze społecznymi problemami, o których już dawno zapomniano w innych częściach kraju (patrz przypadek Wałbrzycha). Nie trzeba być wyjątkowo bystrym, aby szybko dostrzec dominację kapitału niemieckiego

na lokalnych rynkach. To dotyczy także sfery kultury, a zwłaszcza sfery nauki i innowacji. RFN od lat 90. XX w. inwestuje bardzo dużo, aby taka sytuacja się utrzymywała. Taka długofalowa i dobrze przemyślana dystrybucja niemieckiej *soft power* powoduje systemowe upośledzenie naszych „zachodnich kresów".

Wertykalne wykorzenienie to zmiany społeczne związane z ogromną migracją ze wsi do miasta i ogromnym pędem do wykształcenia. Nasze niemal czysto robotniczo-chłopskie społeczeństwo bardzo potrzebowało tego „oświecenia", tego „społecznego awansu", jakim epatowała partyjna propaganda PRL-u. Ale w czasach RPRL-u stało się to już tylko karykaturą. Masowy dostęp do wyższej edukacji był w latach 90. jedynym skutecznym sposobem na rozładowanie problemów społecznych wynikających z ogromnego bezrobocia. To doprowadziło do stopniowego upadku jakości wykształcenia, a także do wytworzenia się ogromnej grupy społecznej – przynajmniej część z nich można zaliczyć w poczet owego słynnego już „prekariatu" według klasyfikacji Guya Standinga. Ta część naszego społeczeństwa masowo uwolniła się od kodu kulturowego, który do niedawna kształtował polskość.

Potrzeba wyobraźni

Każda ideologia musi być spójną strategią działania na arenie społecznej. Jakże trudno wskazać istnienie takiej strategii we współczesnych środowiskach konserwatywnych, tradycjonalistycznych i nacjonalistycznych. Wynika to głównie z ograniczeń poznawczych, którym ulegamy. One biorą się z braku odnowionej i wystarczająco kompletnej wizji człowieka i świata, z braku politycznej wyobraźni. Wynika to także z kompleksów, w które nas wpędzono. Jesteśmy jedynie „reakcją". Możemy tylko reagować na różnorodne wydarzenia i procesy, a to jest niestety przyczyną, tego, że zawsze jesteśmy na przegranej pozycji, bo musimy się bronić. Wojny wygrywa się głównie przez atak i dopóki tego nie przełożymy na praktykę „wojny kulturowej", którą jesteśmy zmuszeni w niekorzystnych warunkach prowadzić od dawna, nie mamy najmniejszej nawet szansy na zwycięstwo. Aleksandr Dugin wymyślił swoją „czwartą teorię polityczną", która miała być ideologią opozycyjną wobec zwycięskiego liberalizmu (który pokonał dwie pozostałe ideologie – komunizm i faszyzm). Jest ona bardzo mętna pod względem filozoficznym, albowiem opiera się na postmodernistycznej wizji świata. Owa „czwarta teoria polityczna" została zaprojektowana w taki sposób, aby stworzyć surogat klasycznego komunizmu, który byłby strawny dla elit Zachodu i pozwoliłby Rosji na ponowne pozyskanie całej rzeszy „pożytecznych idiotów", którzy mogliby stanowić „piątą kolumnę" w walce o restaurację imperialnej potęgi Eurazji. My musimy wymyślić swoją teorię polityczną. Piątą z kolei, a piąty element – piąty żywioł – to *quinta essentia*. Nowa ideologia musi być ową kwintesencją.

> My, ludzie urodzeni w latach 80. i 90. ubiegłego wieku, już nie wierzymy w koniec historii, którego cały nasz świat miał doświadczyć w czasie rzeczywistym. My żyjemy z przeczuciem nadciągającej apokalipsy. Co więcej, gardzimy zestawem zgniłych kompromisów, który jest naszym chlebem codziennym w realiach świata zwierzęcego kapitalizmu i turboliberalnej ideologii. Co więcej, przepaść, jaka dzieli nas od pokolenia naszych rodziców, pod każdym jej względem (politycznym, gospodarczym i społecznym), jest znacznie większa, niż się to powszechnie wydaje. Ona została pogłębiona przez nieporównywalny z niczym innym skok technologiczny, jaki ma miejsce gdzieś od połowy lat 80. XX w.

Od dawna wmawia się nam, że dobrze definiujemy problemy współczesnego życia na wspomnianych wyżej trzech poziomach, ale nie potrafimy wskazać realnych rozwiązań tych problemów. To jest, w domniemaniu wszystkich naokoło, nasz grzech główny. To spostrzeżenie jest wyjątkowo niewygodne, jednak do bólu prawdziwe. Wszystkie wytwory kultury współczesności (mamy tu na myśli pierwszą ćwierć XXI w.) są dosyć niezgrabnymi kolażami, wykonanymi z szeroko dostępnych odpadów minionych epok, sklejonymi w jedną nieczytelną całość. Jakaś trudna do zdefiniowania społeczno-polityczna impotencja naszego pokolenia jest widoczna gołym okiem i nie należy jej deprecjonować. Z tej przyczyny my – jako pokolenie czy jego część – musimy skupić się na rozwiązaniach fundamentalnych. Musimy wytworzyć alternatywę na tyle śmiałą, że obudzi z letargu domniemanego końca historii przynajmniej część naszego społeczeństwa. Najlepiej tę część, która jest na tyle młoda, aby nie być emocjonalnie wykastrowaną przez wielkie traumatyczne doświadczenia XX w., które wpływały na wszystkie poprzednie pokolenia

Naszą siłą musi się stać wyobraźnia. Nie możemy wciąż wstydzić się śmiałej wizji rozwoju naszego kraju i społeczeństwa, która czasami przypomina naukową fantastykę. Właśnie trzeba „zacząć – jak to ujął jeden z dawnych poetów – budowę domu od dymu z komina". Co więcej, taka metoda wydaje się bardzo słuszna, niemal konieczna. Można bez trudu podać tysiące przykładów wynalazków i zjawisk społecznych antycypowanych w literaturze z gatunku fantastyki naukowej, która święciła swe literackie triumfy w drugiej połowie XX w. Dlaczego w ten sam sposób nie projektujemy nowych rozwiązań społecznych, gospodarczych i politycznych, które zachowałyby to, co jest godne zachowania, które rozwijałby to, co jest warte rozwijania, które promowałby to, co jest warte promowania? Każde pokolenie, które reformowało polskie życie społeczno-polityczne (np. pokolenie pozytywistycznych intelektualistów i społeczników po powstaniu styczniowym) wymyślało polskość od nowa. Dlatego musimy najpierw opracować kwintesencję – czyli „piątą teorię polityczną", dzięki której wymyślimy Polskę od nowa.

fot: twitter

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/potrzebna-jest-piata-teoria-polityczna/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć